

Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven

TOM I

'Zmartwychwstanie'



Rozdział I



~Eden był jedynym równym mu. Spokojny górski las, spowity nieruchomą mgłą, mógł służyć jako idealny i dziewiczy raj – a nawet Nieskażone Stworzenie. Hałaśliwe ptaki trzepotały skrzydłami w gęstym baldachimie zielonego mięsa, a poranne słońce przebijało się przez wierzchołki drzew, rzucając kolorowe odłamki ukośnego światła na mgłę. Co jakiś czas mgła rozstępowała się, by zobaczyć wędrujące zwierzę badające korzenie i larwy, tylko po to, by pochłonąć stworzenie ponownie i stać się tym, czym było – nieprzerwaną, przezroczystą ścianą. Pojedynczy liść leniwie wił się przez smugi światła słonecznego, znikając we mgle. Kolejny Liść opadł pierwszy – i kolejny. Ptaki ucichły – światło słoneczne przygasło.

I tak to się zaczęło.

Mgła zaczęła wirować od uciekających zwierząt, a z drzew spadały liście, gałązki i pióra.

Drzewa, niczym stada jaskrawych ptaków, wzbijały się w niebo. Góry dudniły, a drzewa kołysały się, gdy ziemia waliła niczym gong. U szczytu tego złowrogiego bicia, z grzbietu góry nadciągnęła fala odrażających, uskrzydłonych istot. Niektóre, Cyklopi, górowały nad drzewami. Inne, przypominające Chimery, nie były wyższe od ludzkiego dziecka. Wszystkie miały na sobie stroje bojowe, ich błoniaste skrzydła trzepotały w podnieceniu, a pazury ścisnęły miecze i tarcze. Tysiące aniołów, gigantów i grotesk, czyli Grigori, Nefilim, Eljo, Gorgony, Tytani i Cyklopy, runęły w dół zbocza góry razem – kaskadowa lawina zniszczenia. Na czele buchającego płomienia, grupa Aniołów o całkowicie czarnych oczach prowadziła schodzący tłum w mroczną dolinę, torując szeroki pas na zboczu i spłaszczając las. Żadna żywa istota nie pozostała w cieniu tego nieświętego legionu.

A potem całe to zamieszanie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.

Nowa cisza ogarnęła spustoszony krajobraz, równie całkowita, jak spustoszenie, które nastąpiło później. W końcu rozległ się gong, gdy ziemia zaczęła jęczeć od przejścia drugiej hordy. Zza góry nadszedł kolejny legion Aniołów, ubrany niemal identycznie jak pierwsza horda, a jednak na tyle odmienny, że zasługiwał na miano zupełnie innego gatunku. Istoty te przypominały raczej potężnych mężczyzn i kobiety niż demony i choć ich oczy były równie czarne, były raczej skupione, niż rozgniewane.

Gromada stworzeń zatrzymała się na szczycie góry, obserwując spustoszenie w dole. Anioł prowadzący, Michał, odwrócił się i przemówił głosem niczym chór tysięcy. „Tutaj utkano oszustwo – oni pozostają!” Odwracając się w stronę pozornie opuszczonego zbocza poniżej, ryknął: „Semjaza, nie zaznasz spokoju! Odwołaj swoje zaklęcie!” Cerberze! Arazielu!” Nie było odpowiedzi. „Pokażcie się! Z rozkazu Tronu!” ryknął Anioł.

Z nieba zstąpiły dwa kolejne legiony Aniołów, których liczebność niemal całkowicie przesłoniła Słońce przed wschodem słońca wśród formacji Michała. To były zastępy Gabriela i Rafaela. Michał zwrócił się do nich, mówiąc: „Semjaza i jego legiony są na dole. Cerberus również nas zdradził, odkąd sprzymierzył się z tymi z—

Nagle powalone drzewo przeobraziło się w Anioła Araziela, ukazując jego prawdziwą postać, gdy ten rzucił się w stronę Michaela.

„Michael!” ostrzegł Rafael.

Michael obrócił się i jednym ruchem wyrzucił miecz w powietrze. Araziel spadła na niego, zamachując się mieczem i wrzeszcząc, gdy jego ostrze ją przebiło. Upadła na ziemię i eksplodowała, zamieniając się w wściekły rój rozpylającego się pyłu.

„Semjaza!” krzyknął Michael. „Twoje oszustwo nie wykluczy cię z sądu”.

Wszedł na polanę. „Będzie tu kolejna brama” – wykrzyknął Michał, wbijając miecz w ziemię. Góra znów zadrżała, gdy Michał wyciągnął lśniące ostrze, a krew trysnęła z rany.

Krzyk rozdarł powietrze, a to, co wydawało się głazem, stało się potykającą się postacią Semjazy, ściskającą ziejącą ranę na piersi. „Cerberze!” krzyknął. „Złam miecz! Zamknij ranę!”. Gdy Semjaza upadł, jego czar przysł, a krajobraz się zmienił. Tam, gdzie wcześniej leżały w nieładzie powalone drzewa i głazy, teraz legion demonów – tysiące demonów – stał teraz w cieniu na spustoszonej zboczach góry. W tej samej chwili jeden z nich błysnął w górę zbocza góry: straszliwy Anioł z trzema psimi głowami, zgrzytającymi zębami i chłostającym ogonem węża — Cerber. Wiatry wzmagały się z siłą burzy, a chmury kłębiły się, tworząc szybko ciemniejące niebo.

„Ezequeel!” krzyknęła Semjaza. „Chmury! Złam miecz!” Semjaza przetoczyła się kawałek, zginęła i rozprysła się w chmurze pyłu. Armia Semjazy rzuciła się do ataku, Podążając za Cerberem po zboczach góry w stronę Michała. Trzy legiony na szczycie góry spokojnie cofnęły się, uklękły i skłoniły głowy. Czarny wir zstąpił z wirujących chmur, spadając na ziemię. Ziemia zadrżała, a z krwawiącej rany zadanej mieczem Michała wyłonił się kamień. Wir ogarnął szorstki kamień i zdrapał go na czarno, kształtując i drapiąc w kamień w furii ruchu. Z chaosu wyłonił się wypolerowany prostokąt, wyryty na pięciu powierzchniach setkami rzędów misternych, okrągłych i liniowych symboli.

Wyłaniający się monolit obrócił marsz Cerbera w porażkę. Atakujący legion odwrócił się jak jeden mąż i rzucił się w dół góry, a w ich czarnych oczach przerażenie zastąpiło żądzę krwi. Było jednak za późno. Brama była gotowa. Uciekające Anioły zwolniły, jakby powietrze stało się lepkie, zwolniły, a potem zatrzymały się, nawet gdy walczyły o ucieczkę. Wir wciągał je, nieubłaganie wciągając do swego serca, aż każdy z nich został pochłonięty przez monolit. Kiedy ostatni zniknął, serce monolitu spłonęło, pozostawiając ziejącą dziurę w jego środku. Wir wzniósł się ku niebu, a chmury zwolniły swój obrót. W ciszy Anioły słyszały syczenie pary unoszącej się z nowo utworzonej bramy.

Gładki, czarny monolit miał dziesięć stóp wysokości, pięć stóp szerokości i dwa stopy głębokości, a każdy widoczny cal jego powierzchni pokryty był wersetami w języku Aniołów i samego Boga. szklista, czarna powierzchnia monolitu była idealnie gładka niczym najlepsze lustro, a centralny otwór miał idealny kształt, średnicę jednego stopy i przecinał kamień na szerokość. Pieczęć kamienna była doskonała.

Kłęczące Anioły podniosły się. Michał zwrócił się do Gabriela. „Pozostali Strażnicy są ukryci w górach Uhr”. Gabriel pogłaskał miecz i ruszył w górę zbocza.

„Gabriel!” – zawołał za nim Michael.

Gabriel zerknął przez ramię, nie zwalniając kroku, gdy Michał dodał: „ Muszą zostać zabici własnymi mieczami – z rozkazu Tronu”. Gabriel machnął ręką w odpowiedzi, wskoczył na wielki kamień i ryknął ponad głowami swojego legionu: „Do doliny Uhr! Do ostatniego Grigori!”. Gabriel pomknął w stronę zachodniego horyzontu, ciągnąc za sobą swój legion.

„A dokąd uciekł Azazel, Michaelu?” zapytał Rafael głosem wielu osób.

„Poleciał w pustynne góry Haradanu” – odpowiedział Michał. „Przysiągł sojusz z Lucifaelem. Azazel popiera jej roszczenia do Tronu w zamian za ochronę w jej większej liczbie”. Michael przyjrzał się syczącemu monolitowi. Obaj okrążyli kamienną pieczęć, podczas gdy Michael kontynuował: „A liczne legiony Batarel wkrótce zasila jej szeregi”. Michael zatrzymał się i spojrzał na Rafaela – jego zaniepokojona brew przesunęła się po jego twarz. „Jeśli się zjednoczą, Lucyfael zdobędzie potrzebną jej liczbę. Nefilimowie również wzmacniają jej szeregi; a ona pragnie Tronu – ponad wszystko”.

Rafael odwrócił się i wrzasnął ponad swymi ogromnymi niebiańskimi szeregami mieczy i skrzydeł: „ Ruszamy na legiony Batarel i pozostałe hordy Nefilim!” Połowa Aniołów wdarła się na wschodnie niebo, zamykając powietrzne szeregi za Rafaelem.

Michał dowodził następnie resztą: „Sprzymierzcie się do ataku na nowe legiony Lucyfaela ! Ona nas oczekuje; a jednak Tron oświecła nam drogę! Jak poprzednio, najpierw zabijamy olbrzymów i ziemskie demony. Działamy jak jeden mąż – nie zwlekajmy!” Chmura białych skrzydeł i lśniącej zbroi eksplodowała w niebo za Michałem, porzucając stojącą pieczęć.

I tak pieczęć stała przez prawie sześćset wieków, dawno ukryta przez żywioły i czas, gdy osiadł na niej kurz, a potem warstwy brudu i skał. Zasklepiona w głębi kontynentu azjatyckiego, leżała uśpiona, podczas gdy dekady goniły się nawzajem niczym jętki chińskie.

Po upadku Strażników i Grigori, Aniołów, którzy dbali o ziemskie sprawy, pozostał tylko Człowiek, który czuwał nad dobrą ziemią. I czynił to przez wiele pokoleń. Wtedy, pielęgnując swoje ogrody, człowiek przypadkiem odkrył zakopaną bramę. Wiedząc o tym, Aby uznać artefakt za boskiego pochodzenia, oczyścił go z wieków i umieścił w jego wnętrzu, budując na nim świątynię. Przez kolejne pół tysiąclecia utrzymywał artefakt w tajemnicy, czcił go i ukształtował swoje życie wokół tego — aż nadszedł dzień, w którym zdobył wystarczającą wiedzę, aby otworzyć pieczęć, ale jednocześnie pozostał na tyle głupi, aby spróbować to zrobić.

~*~

Centralne Chiny ~ czerwiec 1331

Setki gołębi ustawiły się wzdłuż masywnego dachu ozdobnej chińskiej świątyni, gładząc i dziobiąc się nawzajem, próbując zająć jak najwięcej miejsca na wąskiej półce. Znów i znów pojedynczy ptak wzbił się z zatłoczonego grzbietu, zatoczył szerokie koło i ponownie dołączył do tłum, znikający w masie. Pod półką, dekady gołębiich odchodów pokrywały kamienne powierzchnie szarą i białą farbą. Z półki dla gołębi wystawały kamienne posągi ustawione na równo rozmieszczonych platformach. Każdy z nich przedstawiał groteskową kamienną bestię, wysoką na cztery stopy i z błoniastymi, nietoperzowatymi skrzydłami.

Niektóre z tych kamiennych bestii przypominały smoki, inne były pół-człowiekiem, pół-bestią, a jeszcze inne miały humanoidalny, choć prymitywny wygląd. Niektóre kucaly z rozpostartymi skrzydłami, inne ze złożonymi i schowanymi skrzydłami, a potem istniały różne kombinacje tych dwóch. Szczegóły posągów i ich przypadkowe pozy były tak realistyczne, że mogły być żywe stworzenia zamrożone w kamieniu. Rozchodziły się we wszystkich kierunkach, pokrywając cały szczyt świątyni.

Sama świątynia była wyjątkowo stara, zbudowana z nieregularnych kamiennych płyt wyciosanych tysiąc lat wcześniej. Zewnętrzne ściany budowli pokrywały wytarte ryciny przedstawiające latające demony, a najliczniej reprezentowana była ikona smoka z rozpostartymi skrzydłami, otoczonego trzema okręgami o wspólnym środku. Front świątyni zdobiły trzy łukowate wejścia, z których środkowy był wyższy niż te po obu jego stronach. Trzy ośmiostopowe kamienne rzeźby przedstawiające uskrzydłone, lwie bestie strzegły lewej krawędzi każdego z łuków, a nad każdym z nich wyryto charakterystyczną chińską inskrypcję. Czytając od prawej do lewej, cały fragment można by streścić jako: „Świątynia Latającego Smoka”.

Zadbane ogrody otaczały świątynię, a garbate mosty z drewna tekowego wyginały się w tę i z powrotem przez wijący się strumień. Za drzewkami bonsai i głazami wewnętrznego ogrodu, sady drzew owocowych i orzechowych oraz niewielkie gaje drzew liściastych ustępowały miejsca dzikim, górskim lasom. Na skraju tych zaaranżowanych ogrodów i nieokiełznanich lasów, drozd chiński siedział na prastarym, rodzimym miłorzębie, wypełniając powietrze kojącymi tonami, podczas gdy poranne słońce rozświetlało ścieżki i stawy.

Szereg mnichów w czarnych szatach wyłonił się z lasu i uroczyście schodził po kamiennych schodach

Prześciem prowadzącym do budynku. Sunęli jak mgła ścieżką z opuszczonymi głowami i splecionymi dłońmi. Wchodzili do świątyni cicho jak śmierć. Wewnątrz, na każdej poziomej powierzchni płonęły niezliczone świece, a słodki dym kadzidła unosił się spiralnie z perforowanych kanistrów. Świece i kadzidło w połączeniu nadawały atmosferze wewnątrz ścian świątyni gęstą, duchową atmosferę. Mnisi w jedwabnych strojach przechodzili przez trzy kolejne komnaty, każda większa od poprzedniej. Ostatnia z tych

Był ogromny, a jego wklęsłe sklepienie sięgało wysoko ponad kapłanów. Ryciny przedstawiające latające bestie Otaczały kopułę sufitu. Niezliczone przecinające się linie i napisy znaczyły jej zakrzywioną powierzchnię, przypominając szczegółową astrologiczną mapę nieba.

W wypolerowanej podłodze pośrodku pomieszczenia wycięto idealnie symetryczny, okrągły otwór. Jama była duża, miała prawie trzysta stóp głębokości. Podobnie jak podłoga świątyni, cylindryczna ściana otworu była gładka i wypolerowana, a pośrodku otworu, trzysta stóp pod podłogą świątyni, stała kamienna pieczęć. Nawet po upływie sześćdziesięciu tysięcy lat Kamień Bramy stał nieskazitelny i nieskażony, jak w dniu, w którym pochłonął Strażników i znaczną część niebios.

Czterech wychudzonych kapłanów siedziało na skraju dołu, z podwiniętymi nogami i szatami ściągniętymi z ramion, odsłaniającymi wąskie klatki piersiowe i chude ramiona. Ich zniedołężniały stan świadczył o długich okresach postu. Pot lśnił na ich napiętych szyjach i kościstych żebrach, a oczy płonęły w zapadniętych oczodołach, gdy siedzieli niczym posągi. Zatopieni w medytacji. Procesja mnichów okrążyła czterech kapłanów, a następnie usiedli ramię w ramię, tworząc solidny mur wokół kapłanów i jamy. Gdy przybywało więcej mnichów, formowali drugi krąg, a potem trzeci, aż komnatę wypełniły trzy koncentryczne kręgi medytujących świętych mężów. W głębokiej ciszy sporadyczny trzask płonących świec rozbrzmiewał cicho w kopule, niczym odgłosy dalekiego grzmotu.

Wkrótce na teren weszło trzech kolejnych kapłanów. Dwóch niosło duże świece, a trzeci szedł między nimi, ubrany w szaty czerwone jak świeża krew. W rękach trzymał starożytny, zwinięty pergamin. Trzej kapłani zatrzymali się za kręgiem mnichów, a kapłan w czerwieni rozwinął zwój, odsłaniając kolumny chińskiego pisma. Pergamin zawierał tłumaczenia wersetów wyrytych na powierzchni Kamienia Bramnego.

Na zewnątrz świątyni, na jej terenie, słychać było jedynie bulgotanie spokojnego strumienia. Drozd zerwał się gwałtownie do lotu, goniąc pszczołę przez kwiaty ogrodu. Gdy dziób ptaka śpiewającego wyrwał pszczołę z powietrza, nastąpił wybuch i natychmiast...

Kopuła świątyni roztrzaskała się, wyrzucając kamienne odłamki na setki stóp w powietrze. Wstrząs był tak silny, że pozbawił najbliższe drzewa liści, a fragmenty granitu i ludzkich kości przebiły ich nadpalone pnie. Ogromne bryły kamienia spadły na ogród, łamiąc gałęzie i tworząc krater. Starannie zgrabiona ziemia. Kłęby pyłu i popiołu unosiły się nad ziemią i staczały po całym zboczu góry niczym wzburzona fala piroklastyczna.

To, co pozostało ze świątyni, rozżarzyło się od wściekłego żaru, popękały kamienie. A temperatura wciąż rosła, aż ściany gładkiego dołu w epicentrum świątyni rozpląły się niczym sącząca się żywica. Spalone drzewa otaczające świątynię stanęły w płomieniach. Nienaruszony Kamień Bramy wystawał ze środka krateru. Otwór w sercu kamienia stał się gęsto nieprzezroczysty, pokryty żółciową, czarną mgłą, która zaczęła się kłębić i dym, wydobywający się z Kamienia Bramnego niczym lepka, żrąca chmura, gęsta jak gazy siarkowe.

Chmura uniosła się z krateru i objęła ziemię, dryfując pod lżejszym popiołem. Nie rozproszyła się, lecz pozostała skupiona w jednej wrzącej masie, niszcząc Zielień ogrodu w ślad za nią. Następnie, na nietkniętej polanie, zatrzymała się i zawirowała w miejscu na chwilę, zanim potoczyła się w głąb siebie i połączyła w swoim centrum. Łuki światła przypominające burzę z grzmotami w głębokich kłębach przemknęły przez nie, gdy głęboko w masie uformowała się forma. Początkowo cień, ewoluował, nabierając gęstości i struktury, a w końcu przybrał barwę skóry. Chmura przeredzila się, odsłaniając nagą kobietę z rozłożystymi, błoniastymi skrzydłami. Jej włosy sięgające do pasa były czarne jak hebanowy onyks i cienkie jak jedwabna nić. Jej oczy i paznokcie były równie czarne i lśniące jak twarz Kamienia Bram, która mocno kontrastowała z jej niemal przezroczystą skórą, bladą jak Śmierć. Jej Anielska Piękno nie miało sobie równych nawet w samej Ewie. Była nieświętym Lucyfaelem, Smokiem, uwodzicielską Lilith, jasną Gwiazdą Poranną, starożytnym Heylelem i Matką Sukubu Piekieł – tysiącem tysięcy imion przekazywanych przez wieki. Zmaterializowany duch Lucyfaela splunął głosem wielu kobiet: „Jedna! Pozostało dwie” – westchnęła, uważnie obserwując zniszczenie.

Wokół niej rozpraszający się mrok odsłaniał krajobraz niczym z koszmaru. Teren świątyni był dymiącą, pełną trupów ruiną. Pole czerni otaczało żarzące się ruiny świątyni, a zewnętrzne ogrody leżały płasko i osmalone, umierając z pragnienia. Para unosiła się znad strumienia, teraz czarnego od sadzy i zwęglenia. Drzewka bonsai trzeszczały, płonąć, a od czasu do czasu jedno i drugie opadało w popiół i żużel tam, gdzie się znajdowały. Stał.

Lucifael wyszła i podniosła martwego gołębia z ziemi. Pogłaskała go, gdy troskliwą duszę. „Jeszcze nie, moja droga” – wyszeptała. „Chodź”. Ptak ożył, jego głowa zadrżała, jakby miał złamany kark. Pogłaskała go. „Dokładnie. Wróć, mała” „Jeden”. Jego oczy otworzyły się i spotkały się z jej oczami. Zatrzepotał, a ona chwyciła go za szyję. Przyniosła ptaka do twarzy, wzięła głęboki wdech i wydmuchnęła gęstą, siarkową chmurę nad walczącym ptakiem. Jego pióra rozbiły się na żółto.

W zjeżdżającej chmurze dymu kryły się nasiona zagłady, zagrażające praktycznie każdej żywej istocie na Ziemi, gdyż nosiła ona śmiertelny zarazek, wystarczająco odrażający, by zniszczyć oblicze Azji, a ostatecznie większej części Europy. Tym zarazkiem była Yersenia pestis – narzędzie Czarnej Śmierci. Lucifael uśmiechnął się, instruując ptaka: „Posłuchaj mnie, maleńka. Przekaż ludziom moje słowo – że wkrótce przybędę, by odzyskać to, co moje”. Podrzuciła gołębia w powietrze. Zatonął krąg i poleciał na południe, gdy Lucifael rozbił się w chmurze toczącego się popiołu, który następnie przeobraził się w kruka. Dymna twarz przemknęła przez teren i zanurkowała przez otwór w Kamieniu Bramy.

Niezgrabnie i nieregularnie gołąb wirował w powietrzu wzdłuż zbocza góry i wyleciał na równinę. Jego cień musnął strzechy małej osady, przemknął przez pole i gęstwinę lasu. W końcu ptak znalazł drogę do... Serce zatłoczonej wioski. Wpadł w drgawki i runął w dół, uderzając w ścianę budynku, po czym wylądował na ziemi za straganem z rybami na tętniącym życiem wiejskim targu. Gdy zapadł zmrok i targowisko opustoszało, nikt zauważył martwego ptaka, lecz w zapadającym mroku nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć blade, nikłe światło, które zaczęło wydobywać się z ciała.

Gołąb zeszywniał i zrobiło mu się zimno, ale jego pióra wciąż lśniły niezdrowym żółtym blaskiem. O świcie para czarnych szczurów natknęła się na zwłoki. Jeden szczur powąchał. Wpatrywał się w jego rozwarte oko, podczas gdy drugi wahał jego odbyt, a obaj, stwierdziwszy, że padlina jest świeża, rzucili się na nią. Zanim jednak skończyli tę makabryczną ucztę, do straganu z rybami podszedł mężczyzna, odpędził muchy o zielonych grzbietach i rzucił ciężką, mlecznooką rybę na szorstkie deski straganu. Szczury uciekły, przepełnione chorobą przenoszoną przez ciało ptaka.

Szczury były zręcznymi padlinożercami, ale jeszcze skuteczniejsze były pasożyty, które niezauważenie żerowały na gryzoniach. Bakteria, która dotarła na targ wraz z gołębiem świątynnym, rozmnożyła się w ciałach szczurów, czyniąc z nich żywą potrawkę i wiedźmi napój śmierci dla pcheł, które je zaatakowały. Choć bakterie nie wywarły na nie większego wpływu, pchły objadały się zakażoną krwią szczura, którą natychmiast

zwrócone do ciał kolejnych żywicieli, gdy przygotowywali się do kolejnego posiłku. W ciągu dwóch tygodni po tym, jak gołąb spadł niczym manna do szczurzej nory targowej, pchły rozniosły zarazek na wszystkich szczurów w wiosce.

Szczury zaczęły umierać, zmuszając pchły do poszukiwania zdrowszego pożywienia. Choroba również szukała nowego miejsca rozrodu, dziesiątkując populację gryzoni, i przenoszona w żołądkach miliardów pcheł, znalazła nowego żywiciela – chorobę, która przeniosła się na kolejną ofiarę: ludzi.

W ten słodki i słoneczny poranek młoda Chinka oglądała związane pęczki czarnego imbiru ułożone na stoisku z warzywami kilka stóp od brzegu, gdzie lądował przeklęty gołąb. Wskazując na mały zawiniątko, dziewczyna zapytała starszkę, która prowadziła stragan, ile za nie chce. Kobieta pomachała siedmioma palcami przed bezzębnym uśmiechem. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, akceptując: „To była uczciwa cena”. Kobieta odebrała dziewczynce monety i wyciągnęła wiązkę korzeni, ale w tym momencie jej młoda klientka wrzasnęła i odskoczyła od straganu. „Szczur!” wykrzyknęła, a jej sympatyczna twarz wykrzywiła się z niesmakiem. „Przejechał po mnie”. moja stopa.”

Kobieta roześmiała się, machając leniwie ręką w powietrzu. „To tylko niegroźne szkodniki” – powiedziała z uśmiechem. „Zrobiły się bezczelne, mając tyle jedzenia dookoła, prawie jak zwierzęta domowe”.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, by odebrać swój zakup, pragnąc teraz oddalić się od starej wiedźmy i jej „zwierzaki”. Czując pieczenie w kostce, ponownie odsunęła się od sprzedawcy i uniosła rąbek długiej spódnicy, odsłaniając bosą stopę. Pochyliła się, by przyjrzeć się bliżej, marszcząc brwi. W tym momencie szeroki słomkowy kapelusz, który miała na sobie, upadł na ziemię, gdzie podeptał go przechodzący kupiec. Starszka wybuchnęła śmiechem, która zdawała się znajdować rozbawienie w najwykleszych nieszczęściach. Przenikliwe spojrzenie dziewczyny tylko spotęgowało wesołość kobiety .

„Gdyby wszyscy mieli tyle nieszczęścia co ty, wszyscy bylibyśmy martwi o świecie” – zachichotała.

Dziewczyna, nie dostrzegając komizmu w tej ponurej filozofii, podniosła kapelusz i wcisnęła go z powrotem na głowę. Śmiech starszki drwiąco podązał za nią, gdy odeszła i zniknęła w tłumie z tobołkiem imbiru, brudnym kapeluszem i ugryzieniem pchły.

Ukąszenie — choć niewielkie — okazało się na tyle duże, że mogło połknąć niemal połowę znanego świata.

W ciągu zaledwie kilku dni epidemia choroby przetoczyła się przez chińską wioskę niczym tsunami. Dzieci, będące najbliżej ziemi oraz zwierząt i owadów, które po niej pełzają, jako pierwsze zachorowały i zmarły. Wskaźnik zachorowalności na infekcję był...

Mrozący krew w żyłach, gwałtownie wzrastający do prawie siedemdziesięciu pięciu procent. Łagodna zima stwarzała idealne warunki do rozprzestrzeniania się choroby, a nadchodząca cieplejsza pogoda miała być jeszcze bardziej niszczycielska dla ludzi, a bardziej sprzyjająca dla bakterii. Chociaż piekło nie sprzyja radości, w tej tragicznej chwili ludzkiej infekcji Lucyfael zaszalała. Człowiek był dojrzały, ciepłe warunki były idealne, aby zapewnić Śmierci obfite plony, Śmierć bowiem stała zawsze w gotowości, dzierżąc ostrzoną i błyszczącą kosę niczym doświadczony najemnik, gotowy skwapliwie zebrać plony.

Osoby zarażone dżumą umierały gwałtownie, ponieważ zarazek niszczył ich układ odpornościowy. Atakował węzły chłonne, powodując ich pęknięcie, czyniąc je bezużytecznymi. Ciało ofiary miało niewiele czasu na obronę, zanim zostało całkowicie przytłoczone. Krwawa krew gromadziła się pod skórą ofiar w postaci czarnych plam, a ich zakażone płyny ustrojowe – krew, pot i wydzieliny – wydzielały przerażający odór.

Dżuma dymienicza była jednym z bardziej przebiegłych planów Piekła. Oddech Lucifaela był podstępny, a jej pragnieniem było całkowite unicestwienie przeciwników. Tak więc plaga była chemicznym zmiennokształtnym: czego nie osiągnęła w jednej postaci, osiągnęła w innej. Choroba się zmieniała, a druga fala infekcji przetoczyła się mroczną drogą przez pole ludzkiego życia, a potem nadeszła trzecia fala. Dżuma płucna infekowała płuca swoich ofiar i rozmnażała się tam tak szybko, że klatka piersiowa nieszczęsnej ofiary puchła i wypełniała się krwią w ciągu kilku dni od zakażenia. Chociaż niektórzy przeżyli dżumę dymieniczną, dżuma płucna nie brała jeńców. Co gorsza, infekcja łatwo przenosiła się przez kaszel lub kichnięcie – śmierć wypełniała samo powietrze.

Trzecia forma infekcji okazała się najbardziej śmiertelna ze wszystkich. Dżuma posocznicowa atakowała krew, wypełniając każdą cząsteczkę tkanki ciała gwałtownie namnażającą się pałeczką bakterii. Ofiary umierały w ciągu kilku godzin, a ich narządy wewnętrzne dosłownie rozpływały się w kałużach wysoce zakaźnej krwi. Podobnie jak dżuma przenoszona drogą płucną, infekcja posocznicowa była niemal w stu procentach śmiertelna.

Zaraza rozprzestrzeniła się błyskawicznie ze swojego źródła i ogarnęła całą okolicę. Trzy czwarte wszystkich okolicznych wiosek i miasteczek, które zostały dotknięte plagą, zostało zdziesiątkowanych w ciągu kilku dni. W kolejnych tygodniach setki tysięcy zarażonych zmarłych leżało porzucanych na otwartych polach, ponieważ niewielu odważyło się je pochować z obawy przed zakażeniem. Populacja much gwałtownie wzrosła, a gnijące zwłoki stały się doskonałymi inkubatorami dla ich larw. W bardziej rozwiniętych regionach kraju odór poczerniałych, wzdętych zwłok był tak intensywny, że zapach martwej wioski można było wyczuć z odległości prawie dziesięciu mil (16 kilometrów) w kierunku wiatru. Rozpoczęła się masowa migracja, gdy dziesiątki tysięcy ludzi szukało schronienia w odległych, niezamieszkanym obszarach.

Nawet w panicznej ucieczce podróżni unikali utartych szlaków, zaśmieconych gnijącymi szczątkami ludzi, a czasem całych wiosek. Drogi wiejskie często były blokowane przez wypełnione muchami wozy, wciąż zaprzężone w martwe konie. Śmierć i rozkład były wszechobecne. Zaraza panowała, a ludzie stali się jej niewolnikami. Wielka Zaraza pochłonęła ponad trzydzieści pięć milionów istnień ludzkich w ciągu szesnastu ciężkich lat, a mimo to nie została zaspokojona. Zaraza po cichu wkroczyła do Mezopotamii i Azji Mniejszej, siejąc spustoszenie tak jak Chiny, przemierzając całe kontynenty niczym mściwa, grasująca horda.

Choroba krążyła w każdej żyłce azjatyckiej cywilizacji, podążając szlakami handlowymi, które szerzyły się przez serce Mongolii. Jedwabny Szlak, starożytny szlak karawanowy, który wioził towary ze Wschodu nad Morze Śródziemne, teraz niósł naznaczoną Śmierci służebnicę ku Europie. W istocie Śmierć tchnęła w ziemię niczym cuchnący wiatr, zatruwając powietrze stęchłym odorem rozkładu. Jej nieczysty odór był tak intensywny, że znieczulał nawet niebiosy. Tak więc, jak to nieodmiennie bywa z okropnymi wydarzeniami w historii, przesłanie Lucyfaela rozbrzmiało po krainach – wkrótce odzyska ona swoją własność.

[Koniec rozdziału 1]



To dzieło literackie zostało stworzone d wyłącznie w dedykacji

Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.gothicnovel.org)~